



PLUS MINUS

POLECA

TEATR

LUPA WYTOCZYŁ PROCES

Nie będę ukrywał, że od lat należę do rzeszy zaprzysięgłych wyznawców teatru Krystiana Lupy. Wiem, że – jak powiedziałby Jeremi Przybora – „takie wyznanie przynosi mi zaszczyt” i nie jest niczym ekstrawaganckim, niepojętym, niepokojącym czy budzącym powszechne zgorszenie. Bycie lupatykiem nie jest też przejawem choroby, która pustoszy mój organizm, a jej skutki budzą niepokój najbliższych.

Na spektaklach Lupy siedzę niczym zahipnotyzowany. Obojętnie, czy trwają dwie (rzadko), trzy, pięć czy nawet siedem godzin. Dla mnie czas ich trwania to po prostu fragment nieskończoności, a może nawet wieczności. O geniuszu Lupy można napisać tyle tomów, ile liczy Encyklopedia Britannica i dodać jeszcze suplement. „Lunacy”, „Bracia Karamazow”, „Emanuel Kant”, inscenizacje Witkacego, Wyspiańskiego, Rilkego, Musila, Bernharda czy Brocha sprawiły, że stał się jednym z najważniejszych artystów światowego teatru, rozślawiając nie tylko polski teatr, ale też całą polską kulturę na świecie.

Najnowsza premiera, czyli „Proces” inspirowany utworem Franza Kafki, powstawała w szczególnych warunkach. Miała to być kolejna premiera zrealizowana z aktorami Teatru Polskiego we Wrocławiu. Zmiana dyrekcji oprotestowana przez część zespołu i samego Lupa uniemożliwiła mu realizację tego projektu. Przerwano próby, realizacja stanęła pod znakiem zapytania. Ponieważ przedsięwzięcie obrastało legendą i zainteresowały się nim festiwale na świecie, cztery warszawskie teatry i władze stolicy postanowiły sfinansować tę produkcję. Z tygodnia na tydzień coraz bardziej był to spektakl Lupy niż Kafki. Z planowanych trzech czy czterech godzin rozrósł się też niemal do siedmiu. W niektórych scenach odniosłem wrażenie, że Lupa wyraźnie testuje wytrzymałość widza. Ale wiedział też, że na jego spektakle przychodzi publiczność o szczególnej wrażliwości i wyobraźni. I do niej ten spektakl jest adresowany.

Krystian Lupa zwykle stronił od polityki, unikał bezpośrednich skojarzeń z otaczającą rzeczywistością. Od pewnego czasu jest inaczej. Jego „Proces” jest mocnym głosem artysty przeciwko życiu w zniewoleniu, beznadziei, perspektywie, gdzie każdy jest potencjalnym oskarżonym, a powaga instytucji sędziego jest na wyczerpaniu. Artysty, który dusi się w świecie rządzonym przez ludzi o chorych ambicjach, gardzących prawem i mającym dość specyficzne poczucie sprawiedliwości.

Lupa jest tu w równej mierze co sam Kafka autorem scenariusza. Widać to zwłaszcza w drugim akcie, gdzie główny bohater, poruszając się w dość mrocznym labiryncie, wchodzi do sali, w której czekają na swój proces postacie z zaklejonymi ustami (wyraźne nawiązanie do protestujących aktorów wrocławskich, których spora



część wystąpiła zresztą w tym spektaklu). Franz (a nie Józef) K. jest tu rozpisany na dwóch aktorów. Andrzeja Kłaka, który niemal nie schodzi ze sceny i jest siłą napędową tej opowieści, oraz Marcina Pempu-

sia, który jest jego głosem wewnętrznym. Postacie tego spektaklu pchane są w rejony strachu, niepewności i przerażenia. Piotr Skiba jako Mecenas świetnie obnaża fikcję wprowadzonego prawa, a ksiądz (Andrzej Szere-meta), zamiast nieść otuchę, wywołuje w skazanym dodatkowe poczucie winy. Fakt, że odnajdujemy przykłady komisji śledczych, które zdają się działać wedle z góry przyjętego scenariusza, oświadczeń, które są przerywane, bo zakłócają dobre samopoczucie prowadzącego obrady, nie świadczy źle o Lupa, raczej o czasach, w których żyjemy.

Cały ten spektakl to fascynująca gra między powieścią, teatrem i życiem. A że trwa tak długo? Nie spotkałem się z przypadkiem, by ktoś wezwany na proces uznał, że postępowanie przeciw niemu przebiegało krótko i toczyło się w miłej atmosferze pełnej zrozumienia i życzliwości. ©

—Jan Bończa-Szabłowski

„Proces”, reż. Krystian Lupa, Nowy Teatr w Warszawie